



Coriolanus wrzucił garść kapusty do garnka z wrzątkiem i poprzysiągł sobie, że przyjdzie dzień, w którym już nigdy więcej nie weźmie kapuśniaku do ust. Jednak nie dzisiaj — dzisiaj musiał zjeść dużą miskę cienkiej zupy i wypić wywar do ostatniej kropli, żeby nie burczało mu w brzuchu podczas ceremonii dożynek. To był tylko jeden punkt z długiej listy środków ostrożności, które podejmował, aby ukryć fakt, że jego rodzina, choć mieszkała w luksusowym penthousie w najbardziej luksusowym apartamentowcu w Kapitolu, była biedna jak hołota z dystryktów. Nie mógł zdradzić, że osiemnastoletni potomek niegdyś wielkiego rodu Snowów musi polegać wyłącznie na swoim sprycie, aby przeżyć.

Przejmował się koszulą na ceremonię. Miał przyzwoitą parę eleganckich ciemnych spodni, kupionych w zeszłym roku na czarnym rynku, ale ludzie patrzyli przede wszystkim na koszulę. Na szczęście Akademia zapewniała mundury, które uczniowie nosili na co dzień. Na dzisiejszą uroczystość nakazano im jednak ubrać się modnie, lecz z powagą podyktowaną okolicznościami. Tigris prosiła, żeby jej zaufał, i tak właśnie zrobił. Jak dotąd ratowało go tylko to, że jego kuzynka doskonale posługiwała się igłą i nitką, ale przecież nie mógł oczekiwać cudów.

Koszula, którą wyciągnęli z głębi szafy — szafy ojca, pamiętającej lepsze dni — była poplamiona i pożółkła ze starości. Brakowało przy niej połowy guzików, na mankiecie widniał ślad po

przypaleniu papierosem i nie nadawała się na sprzedaż nawet w najgorszych czasach. To miał włożyć na dożynki? Tego dnia o świcie wszedł do pokoju Tigris i odkrył, że nie ma ani jej, ani koszuli. To źle wróżyło. Czyżby kuzynka darowała sobie pracę nad tym łachem i wyruszyła na czarny rynek w rozpaczliwej próbie znalezienia mu przyzwoitego ubrania? Co, u licha, miała na tyle wartościowego, żeby się nadawało na wymianę? Tylko jedno — siebie — ale ród Snowów jeszcze tak nisko nie upadł. A może właśnie upadał w chwili, w której on solił kapustę?

Wyobraził sobie, jak ludzie wyceniają Tigris. Z długim, spiczastym nosem i kościstym ciałem nie była wielką pięknoscią, ale miała w sobie słodycz i bezbronność, które wręcz zachęcały do przemocy. Znalazłaby chętnych, gdyby tylko tego zapragnęła. Na tę myśl ogarnęły go mdłości, poczuł bezradność i obrzydzenie do siebie.

W głębi mieszkania rozległ się hymn Kapitolu *Klejnot Panem* i od ścian odbił się echem drżący sopran babki Coriolanusa.

*Klejnot Panem,  
Wszechpotężne  
Miasto lśniące od setek lat.*

Jak zwykle rozpaczliwie fałszowała, trochę nie nadążając za muzyką. W pierwszym roku wojny puszczała nagranie tylko w święta narodowe, żeby zakorzenić patriotyzm w pięcioletnim Coriolanusie i ośmioletniej Tigris. Codzienny recital zaczął się dopiero tamtego ponurego dnia, kiedy buntownicy z dystryktów otoczyli Kapitol i odcięli go od dostaw na pozostałe dwa lata wojny. „Pamiętajcie, dzieci”, mawiała babka, „jesteśmy tylko oblężeni — nie skapitulowaliśmy!”. Potem zawodziła hymn z okna penthouse’u przy akompaniamencie spadających bomb. Była to jej mała demonstracja oporu.

*Uklęknijmy wraz,  
Ideale nasz,*

A następnego wersu nigdy nie udawało jej się zaśpiewać czysto...

*Zechciej przyjąć miłosny hołd!*

Coriolanus lekko się wzdrygnął. Buntownicy umilkli już dekadę temu, ale babka nie miała zamiaru. Pozostały jeszcze dwie zwrotki.

*Klejnot Panem,  
Twa z marmuru skroń  
Zdobi wieniec prawa i cnót.*

Zastanawiał się, czy większa liczba mebli zdołałaby częściowo pochłonąć dźwięki, lecz to pytanie było czysto teoretyczne. Apartament wyglądał obecnie jak swoisty Kapitol w skali mikro i nosił blizny po nieustępliwych atakach buntowników. Na wysokich na niemal siedem metrów ścianach roilo się od pęknięć, a zagrzybiał sufit upstrzony był dziurami po brakujących fragmentach tynku. Brzydkie pasy czarnej taśmy izolacyjnej spajały potłuczone szyby łukowych okien z widokiem na miasto. W czasie wojny i w następnym dziesięcioleciu rodzina musiała sprzedać lub wymienić wiele przedmiotów, więc niektóre pokoje świeciły teraz pustkami i pozostawały zamknięte. Inne pomieszczenia były urządzone po spartańsku. Co gorsza, podczas ostrych mrozów ostatniej zimy oblężenia kilka eleganckich rzeźbionych mebli z drewna oraz mnóstwo książek poszło z dymem w kominku, żeby uchronić rodzinę przed śmiercią z wyziębienia. Widok obracających się w popiół stron z kolorowymi obrazkami — tych samych, nad którymi pochylał się z matką — zawsze doprowadzał go do łez. Smutek był jednak lepszy niż śmierć.

Coriolanus bywał u znajomych i wiedział, że większość rodzin zabrała się już do remontów mieszkań, ale Snowowie nie mogli pozwolić sobie nawet na kilka metrów płótna na nową koszulę. Pomyślał o swoich kolegach z klasy, przeglądających szafy czy też wkładających niedawno uszyte garnitury, i zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze zdoła utrzymywać pozory.

*Światła twego blask,  
Znów zjednoczył nas,  
Ślubujemy wiernie cię strzec.*

A jeśli przerobiona przez Tigris koszula nie będzie się nadawała do noszenia? Co wtedy zrobi? Uda, że zapadł na gripę i zawiadomi szkołę o chorobie? *Tchórzostwo*. Będzie na tyle odważny, że zjawi się w koszuli od munduru? *Brak szacunku*. Wciśnie się w czerwoną koszulę zapinaną na guziki, z której wyrósł dwa lata temu? *Żałosne*. Opcja do przyjęcia? *Żadna z powyższych*.

Może Tigris poszła prosić o pomoc swoją pracodawczynię, Fabricię Whatnot, kobietę równie głupią jak jej nazwisko, ale ze swoistym talentem do podążania za najnowszymi trendami. Niezależnie od tego, czy na topie były pióra, czy skóra, plastiki czy plusz, potrafiła wpleść je w stroje za rozsądną cenę. Tigris średnio nadawała się na studentkę, więc po ukończeniu Akademii darowała sobie uniwersytet, żeby spełnić swoje marzenie i zostać projektantką. Miała pracować jako uczennica, lecz traktowano ją raczej jak niewolnicę i musiała masować stopy swojej pracodawczyni oraz odtykać otwory odpływowe, zapychane długimi, fuksjowymi włosami Fabricii. Zachwycona Tigris nigdy się jednak nie skarżyła i nie przyjmowała żadnych słów krytyki pod adresem szefowej, której zawdzięczała pracę w branży mody.

*Klejnot Panem  
Źródło chwały,  
W boju siła, w pokoju moc.*

Coriolanus otworzył lodówkę, licząc na to, że natrafi na coś, co doda smaku kapuśniakowi. W środku jednak znalazł tylko metalowy rondel, a gdy podniósł pokrywkę, ujrzał zestaloną breję rozgniecionych ziemniaków. Czyżby babka w końcu postanowiła spełnić groźbę i zabrała się do nauki gotowania? Czy ta papka w ogóle nadawała się do jedzenia? Postanowił poczekać, aż zdobędzie więcej informacji o potrawie w rondlu, i go zakrył. Jakim luksusem byłoby natychmiastowe wyrzucenie tego czegoś do śmieci! Jakim luksusem byłyby śmiecie. Pamiętał, a przynajmniej tak mu się wydawało, że we wczesnym dzieciństwie obserwował cicho sunące ulicami śmieciarki obsługiwane przez awoksów — robotnik bez języka to najlepszy robotnik, tak mawiała jego babka — którzy opróżniali pojemniki i zbierali wielkie worki z wyrzuconym jedzeniem, a także zużyte sprzęty kuchenne. A potem przyszły czasy, kiedy nic już nie było niepotrzebne, liczyła się każda kaloria, a każdy przedmiot dało się wymienić, spalić w piecu lub przymocować do ściany jako izolację. Kiedyś wszyscy nienawidzili marnotrawstwa, teraz jednak wracało do łask. Stało się oznaką dobrobytu, jak przyzwoita koszula.

*Zawsze chroń nasz kraj,  
Zbrojny opór daj!*

Koszula. Koszula. Jego umysł czasem nadmiernie skupiał się na tego typu problemie — w zasadzie na każdym problemie — i nie odpuszczał, całkiem jakby kontrola nad danym elementem świata powstrzymywała go od upadku. To był zły zwyczaj, przez który Coriolanus nie dostrzegał innych, potencjalnie szkodliwych rzeczy. Musiał nauczyć się panować nad swoją głęboko zakorzenioną w mózgu skłonnością do obsesji, bo inaczej mogła doprowadzić go do zguby.

Skrzekliwym głosem babka wyśpiewała finałowe crescendo.

*Nasz jest Kapitol, nasze życie, nasz świat!*

Stara wariatka, nadal trzymająca się kurczowo przedwojennych dni. Kochała ją, ale już lata temu straciła kontakt z rzeczywistością. Przy każdym posiłku trąkotała o legendarnej wielkości Snowów, nawet kiedy jedli wodnistą zupę fasolową i zatęchłe suchary. Kiedy tak mówiła, wydawało się przesądzone, że Coriolanusa czeka wspaniała przyszłość. „Gdy Coriolanus zostanie prezydentem...”, mawiała często. Gdy Coriolanus zostanie prezydentem, wówczas wszystko magicznie zmieni się na lepsze, począwszy od naprawienia rozklekotanych sił powietrznych Kapitolu, a skończywszy na obniżeniu niebotycznych cen kotletów wieprzowych. Dzięki Bogu, zepsuta winda i artretyczne kolana uniemożliwiały jej częste wychodzenie z domu, a sporadycznie pojawiający się w apartamencie goście byli równie zwapniali jak ona sama.

Kapusta się zagotowała, wypełniając pomieszczenie zapachem ubóstwa. Coriolanus podziabiał ją drewnianą łyżką. Tigris jeszcze nie przyszła, czas na telefon z usprawiedliwieniem nieobecności powoli mijał. Wszyscy wkrótce mieli się zebrać w Sali Heavensbee’ego, gdzie Coriolanus będzie musiał stawić czoło zagniewanej i rozczarowanej profesor od komunikacji, Satirii Click, która walczyła o to, żeby to właśnie jemu przypadło jedno z dwudziestu czterech bardzo pożądanych stanowisk mentora w Głodowych Igrzyskach. Był nie tylko jej ulubieńcem, ale też asystentem naukowym, i nie wątpił, że Satiria znajdzie dziś dla niego jakieś zadanie. Jej nieobliczalność uwidaczniała się zwłaszcza wtedy, gdy piła, a dzień dożynek nie mógł się obejść bez alkoholu. Powinien zadzwonić i ją uprzedzić o swojej nieobecności. Powinien powiedzieć, że bez przerwy wymiotuje czy coś w tym stylu, lecz robi, co się da, aby wydobrzeć. Wziął się w garść i sięgnął po telefon, żeby zawiadomić o ciężkiej chorobie, kiedy nagle do głowy przyszła mu inna myśl. Jeśli się nie zjawi, czy Satiria pozwoli zastąpić go w roli mentora? A jeśli tak, czy zmniejszy to jego szanse na jedną z nagród Akademii przyznawanych absolwentom? Bez nagrody nie będzie mógł pozwolić sobie na studia,

a to dla niego oznaczało brak dobrej pracy, brak perspektyw na przyszłość. Kto wiedział, jaki los spotka jego rodzinę i...

Zdeformowane drzwi wejściowe otworzyły się ze skrzypieniem i zgrzytem.

— Corio! — zawołała Tigris, a on natychmiast odstawił telefon.

Po raz pierwszy nazwała go tym zdrobnieniem tuż po jego narodzinach, i już tak zostało. Wypadł z kuchni, niemal przewracając Tigris, ale była zbyt rozradowana, żeby go zrugać.

— Udało mi się! Udało! No, coś tam się udało! — Zatupała w miejscu, po czym uniosła stary pokrowiec na wieszaku. — Patrz, patrz, patrz!

Coriolanus rozpiął pokrowiec i wyciągnął koszulę.

Prezentowała się wspaniale, nawet lepiej, z klasą. Grube płótno nie było ani śnieżnobiałe, ani pożółkłe ze starości, tylko delikatnie kremowe. Mankiety i kołnierzyk zastąpiono czarnym aksamitem, a za guziki służyły złote i hebanowe kostki. Tessery. W każdej były wywiercone dwie maleńkie dziurki na nitkę.

— Jesteś genialna — powiedział szczerze. — Nie mógłbym mieć lepszej kuzynki. — Ostrożnie, żeby nie zniszczyć koszuli, uściśnął Tigris wolną ręką. — Snow zawsze na szczycie!

— Snow zawsze na szczycie! — zawtórowała mu Tigris.

To powiedzonko pomogło im przetrwać wojnę, kiedy toczyli niekończącą się walkę o to, żeby nie dać się wdeptać w ziemię.

— Opowiedz wszystko. — Wiedział, że o tym marzyła. Uwielbiała mówić o ubraniach.

Tigris wyrzuciła ręce do góry i wybuchnęła lekko chrapliwym śmiechem.

— Od czego zacząć?

Zaczęła od wybielenia. Zasugerowała, że białe zasłony w sypialni Fabricii wyglądają na spłowiałe, a mocząc je w wybielaczu, dorzuciła do nich koszulę. Materiał zareagował idealnie, jednak żadne wybielenie nie mogło całkiem usunąć plam. Wobec tego zagotowała koszulę w wodzie z uschniętymi nagietkami,

znalezionymi w śmietniku przed domem sąsiada Fabricii. Płatki ufarbowały płótno na tyle, żeby ukryć plamy. Aksamit na mankiety pochodził z dużego, zaciąganego na sznurek worka, w którym przechowywano obecnie pozbawioną znaczenia tabliczkę pamiątkową dziadka. Tessery wydułabała z wnętrza szafki w łazience dla służby, a otwory nawiercił dozorca w zamian za zaszyte kombinezony.

— To było dzisiaj rano? — spytał.

— E, nie, wczoraj. W niedzielę. Dzisiaj rano... Znalazłeś moje ziemniaki? — Poszedł za nią do kuchni, gdzie otworzyła lodówkę i wyciągnęła rondel. — Przez pół nocy robiłam z nich skrobienie na krochmal, a potem pobiegłam do Dolittle'ów, żeby pożyczyć przyzwoite żelazko. To mi zostało do zupy! — Odwróciła naczynie, wrzuciła masę do wrzącego kapuśniaku i zamieszała.

Z poczuciem winy zauważył fioletowe cienie pod jej złocistobrązowymi oczami.

— Kiedy ostatnio spałaś? — spytał.

— Och, nic mi nie jest. Zjadłam skórki ziemniaków, podobno są w nich witaminy. A dzisiaj mamy dożynki, więc w sumie jest święto! — oznajmiła wesoło.

— Nie u Fabricii — zauważył.

Właściwie to nikt nie świętował. Dzień dożynek był straszny w dystryktach, ale i w Kapitolu w zasadzie go nie celebrowano. Podobnie jak Coriolanus, większość ludzi nie lubiła wspominać wojny. Tigris spędzała ten dzień, obsługując swoją pracodawczynię oraz całą menażerię jej gości, którzy opowiadali sobie ponure historie o biedzie podczas oblężenia i upijali się do nieprzytomności. Następnego dnia zapowiadał się dla Tigris jeszcze gorzej, bo goście oczekiwali pomocy przy leczeniu kaca.

— Przestań się martwić. Lepiej się pośpiesz i jedz! — Nałożyła mu trochę zupy do miski i postawiła ją na stole.

Coriolanus spojrzawszy na zegarek, pośpiesznie przełknął zupę, nie zważając na to, że parzy mu usta, i z koszulą w rękach pobiegł do swojego pokoju. Już wcześniej zdążył się ogolić i wziąć



prysznic, a jego jasna skóra była dziś na szczęście nieskazitelnie gładka. Przydzielana przez szkołę bielizna i czarne skarpety prezentowały się całkiem nieźle. Ubrał się w garniturowe spodnie, bardziej niż przyzwoite, i wcisnął stopy w sznurowane buty ze skóry. Były za małe, ale dało się wytrzymać. Następnie ostrożnie włożył koszulę, wepchnął poły za pasek i odwrócił się do lustra. Powinien być wyższy. Podobnie jak wielu jego rówieśników, ze względu na kiepską dietę za mało urósł. Ale był w dobrej kondycji i miał świetną sylwetkę, a koszula podkreślała jego atuty. Ostatni raz wyglądał tak dostojnie w dzieciństwie, kiedy babka ubrała go w garnitur z fioletowego aksamitu, żeby na ulicy popisywać się wnukiem. Przyglądał jasne loki i drwiąco wyszeptał do swojego odbicia: „Coriolanus Snow, przyszły prezydent Panem. Bądź pozdrowiony!”

Chcąc zrobić przyjemność Tigris, wszedł paradnym krokiem do salonu, po czym rozłożył ręce i się obrócił, żeby zaprezentować koszulę.

Tigris zaklaskała z zachwytem.

— Wyglądasz niesamowicie! — pisnęła. — Tak przystojnie i modnie! Chodź, zobacz, Panibabko! — To było kolejne przewisko wymyślone przez małą Tigris, która uznała, że zwykłe określenia „babcia”, czy wręcz „bunia” nie pasują do kogoś tak władczego.

Po chwili pojawiła się babka ze świeżo ściętą czerwoną różą, którą trzymała czule w drżących dłoniach. Ubrała się w długą, powłóczystą tunikę w czarnym kolorze. Przed wojną odzież w tym stylu cieszyła się ogromną popularnością, obecnie jednak była wręcz komicznie niemodna. Haftowane pantofelki z podwinętymi noskami stanowiły dawniej komplet z suknią, a spod sfatygowanego turbanu z aksamitu wystawały pasma cienkich siwych włosów. To była resztką niegdyś wykwintnej garderoby babki. Nieliczne przyzwoite stroje oszczędzała na spotkania towarzyskie lub rzadkie wyjścia na miasto.

— Masz, chłopcze. Przypnij to — rozkazała. — Prosto z ogródka na dachu.

Sięgnął po różę, lecz gdy przyjmował ją z drżącą ręki babki, kolec wbił mu się w sam środek dłoni. Z rany popłynęła krew, więc wyprostował ramię, żeby nie poplamić cennej koszuli. Babka wydawała się skonsternowana.

— Chciałam tylko, żebyś wyglądał elegancko — powiedziała.

— Ależ naturalnie, Panibabciu — przytaknęła Tigris. — I tak będzie.

Gdy prowadziła Coriolanusa do kuchni, powtarzał sobie, że samokontrola to podstawa i powinien się cieszyć, że dzięki babce mógł codziennie ją praktykować.

— Rany klute krótko krwawią — oświadczyła Tigris, po czym sprawnie oczyściła i zabandażowała mu dłoń. Przycięła różę, pozostawiając kilka listków, i przypięła mu ją do koszuli. — Faktycznie wygląda elegancko. Wiesz, ile dla niej znaczą te różę. Podziękuj.

Tak też zrobił — podziękował im obu i pośpiesznie wyszedł. Zbiegł po ozdobnych schodach dwanaście pięter w dół, pokonał hol i wypadł na ulice Kapitolu.

Frontowe drzwi budynku znajdowały się od strony Corso, alei tak szerokiej, że w dawnych czasach, kiedy Kapitol urządzał parady wojskowe dla gawiedzi, osiem rydwanów swobodnie jechało jeden obok drugiego. Coriolanus pamiętał, jak w dzieciństwie wychylał się z okna apartamentu i jak goście chwalili się, że oglądają defilady z pierwszego rzędu. Potem nadleciały bombowce i przez długi czas okolica była zablokowana. Teraz, choć ulice wreszcie oczyszczono, sterty gruzu nadal zalegały na chodnikach, a całe budynki były wypatroszone jak w dniu bombardowania. Minęło dziesięć lat od zwycięstwa, a on w drodze do Akademii musiał lawirować między bryłami marmuru i granitu. Coriolanus zastanawiał się czasem, czy gruzy pozostały tu dlatego, żeby mieszkańcy nie zapomnieli, przez co przeszli. Ludzie mieli krótką pamięć. Żeby wojna się w niej nie zatarła, musieli krążyć wśród ruin, wydzierać upokarzające kupony z kartek żywnościowych i oglądać Głodowe Igrzyska. Zapomnienie mogło

prowadzić do samozadowolenia, a wtedy znowu znaleźliby się na początku drogi.

Skrećiwszy w Scholars Road, postanowił zwolnić tempo. Chciał zjawić się na czas, ale spokojny i opanowany, a nie zlany potem. Dzień dożynek, podobnie jak następne, zapowiadał się upalnie, ale czego należało się spodziewać po czwartym lipca? Był wdzięczny babce za pachnącą różę, gdyż rozgrzana koszula lekko zalatywała ziemniakami i zwiędłymi nagietkami.

Jako najlepsza szkoła średnia w Kapitolu, Akademia kształciła potomstwo prominentnych, bogatych i wpływowych. Na każdym roku było ponad czterystu uczniów, więc Tigris i Coriolanus przyjęto bez większych oporów, zwłaszcza że ich rodziny od dawna posyłały dzieci do tej szkoły. W przeciwieństwie do Uniwersytetu, Akademia pozostawała darmowa, a uczniowie mieli w niej zapewniony lunch oraz przybory szkolne, a także mundury. Każdy, kto był kimś, uczęszczał do Akademii, a Coriolanus potrzebował tych kontaktów jako fundamentu swojej przyszłości.

Na olbrzymich schodach prowadzących do Akademii czasami zbierali się wszyscy uczniowie, więc bez trudu pomieścili się tam teraz rozmaici oficjele, profesorowie i wychowankowie, zmierzający na ceremonię dożynek. Coriolanus powoli wspinał się na stopnie, starając się iść z niewymuszoną godnością na wypadek, gdyby ktoś go zauważył. Ludzie go znali — czy też znali jego rodziców i dziadków — a od Snowów oczekiwano określonych standardów zachowania. Liczył na to, że tego roku, poczynszy od dzisiejszego dnia, sam stanie się rozpoznawalny. Pełnienie funkcji mentora podczas Głodowych Igrzysk było jego ostatnim zadaniem przed ukończeniem Akademii. Gdyby zrobił odpowiednie wrażenie jako mentor, to biorąc pod uwagę jego nieprzeciętne wyniki w nauce, powinien otrzymać nagrodę pieniężną wystarczającą do opłacenia czesnego na Uniwersytecie.

W igrzyskach uczestniczyło dwadzieścioro czworo trybutów, jeden chłopiec i jedna dziewczyna z każdego z dwunastu podbi-

tych dystryktów. Po losowaniu mieli trafić na arenę, by walczyć ze sobą na śmierć i życie. Zasady turnieju zapisano w Traktacie o Zdradzie, który zakończył Mroczne Dni rebelii dystryktów. Igrzyska stanowiły tylko jedną z wielu kar ponoszonych przez rebeliantów. W przeszłości wyposażonych w śmiercionośną broń trybutów wrzucano na kapitolijną arenę, obecnie zrujnowany amfiteatr, na którym przed wojną odbywały się rozmaite wydarzenia sportowe i rozrywkowe. Kapitol zachęcał do oglądania igrzysk, ale sporo ludzi tego unikało. Uatrakcyjnienie widowiska stanowiło nie lada wyzwanie i właśnie dlatego w tym roku trybuci po raz pierwszy dostali własnych mentorów, wybranych spośród dwudziestu czterech najlepszych i najbystrzejszych uczniów ostatniego roku. Nie było do końca jasne, na czym będzie polegała ich praca. Mówiło się o przygotowaniu każdego z trybutów do indywidualnego wywiadu i nauce prezentowania się przed kamerą. Wszyscy się zgadzali, że jeśli Głodowe Igrzyska mają przetrwać, muszą nabrać większego znaczenia. Połączenie w pary młodzieży z Kapitolu i trybutów z dystryktów zaintrygowało ludzi.

Coriolanus minął przyozdobione czarnymi sztandarami wejście i po krótkiej wędrówce łukowo sklepionym korytarzem wkroczył do Sali Heavensbee'ego, gdzie mieli oglądać transmisję ceremonii dożynek. Nie spóźnił się ani trochę, ale w sali znajdowało się już sporo nauczycieli, uczniów, a także kilku urzędników, których obecność nie była wymagana na ceremonii otwarcia. Wśród tłumu krążyli awoksi, nosząc tace z poską, mieszaną rozwodnionego wina z miodem i ziołami. To była alkoholowa wersja gorzkiego napoju, który podtrzymywał przy życiu mieszkańców Kapitolu w trakcie wojny i podobno chronił przed chorobami. Coriolanus wziął do ręki kielich i przepłukał usta poską w nadziei, że pozbędzie się ostatnich śladów kapuścianego oddechu. Pozwolił sobie jednak tylko na jeden łyk. Poska była mocniejsza, niż mogłoby się wydawać, i w poprzednich latach nieraz widział, jak przedstawiciele klasy wyższej robią z siebie idiotów po nadużyciu trunku.

Świat wciąż uważał Coriolanusa za bogacza, lecz on dysponował jedynie wdziękiem, którym hojnie obdarowywał tłum. Twarze się rozpromieniały, gdy witał się przyjaźnie z uczniami i nauczycielami, wypyując jednych o członków rodziny, a innych obdarzając komplementami.

— Pański wykład o odwecie na dystryktach nie daje mi spokoju.

— Boska grzywka!

— Jak tam operacja kręgosłupa twojej matki? Powiedz jej, że jest moją bohaterką.

Minął setki wyściełanych krzeseł, które przyniesiono specjalnie na tę okazję, i wszedł na podium, gdzie Satiria zabawiała gromadę nauczycieli z Akademii i organizatorów igrzysk jakąś niestworzoną opowieścią. Chociaż usłyszał tylko ostatnie zdanie: — „No więc powiedziałam, przykro mi z powodu twojej peruki, ale sam się uparteś, żeby ściągnąć małpę!” — nie omieszkął solidarnie roześmiać się wraz z innymi.

— Ach, Coriolanus — powiedziała powoli Satiria, przywołując go gestem ręki. — Mój najlepszy uczeń.

Zgodnie z oczekiwaniami ucałował ją w policzek i zauważył, że była już po kilku kielichach poski. Powinna kontrolować swoje picie, chociaż w sumie to samo można by powiedzieć o połowie znanych mu dorosłych. Leczenie się na własną rękę stanowiło prawdziwą plagę w mieście. Tak czy inaczej, Satiria była zabawna i nieprzesadnie spięta. Jako jedna z nielicznych nauczycieli pozwalała, by uczniowie zwracali się do niej po imieniu. Odsunęła się trochę, żeby przyjrzeć mu się uważnie.

— Piękna koszula — stwierdziła. — Skąd masz coś takiego?

Opuścił wzrok na koszulę, jakby ją dopiero teraz zauważył, po czym wrzucił ramionami, żeby zrobić wrażenie młodego człowieka o nieograniczonych możliwościach.

— Snowowie mają pojemne szafy — odparł swobodnie. — Postawiłem na coś skromnego i zarazem odświętnego.

— I właśnie taka jest. A co to za zmyślne guziki? — spytała Satiria, dotykając jednej z kostek na jego mankiecie. — Tessery?

— Tak? To już rozumiem, dlaczego skojarzyły mi się z łazienką dla służby — oznajmił Coriolanus, na co przyjaciele Satirii zareagowali chichotem.

Właśnie takie wrażenie pragnął podtrzymać. Przypomniawszy im, że jest jedną z nielicznych osób, w których mieszkaniu jest łazienka dla służby — i to jeszcze wyłożona tesseramami — a jednocześnie złagodził to autoironicznym humorem, żartując na temat swojej koszuli.

— Uroczu suknia. — Skinął głową do Satirii. — Nowa, prawda?

Od razu zauważył, że była to ta sama sukienka, którą zawsze wkładała na uroczystość dożynek, choć tym razem ozdobiły ją kępki czarnych piór. Satiria jednak pochwaliła jego koszulę, więc musiał się zrewanżować.

— Zamówiłam ją specjalnie na ten dzień — odpowiedziała, świadomie potwierdzając kłamstwo. — Dziesiąta rocznica i w ogóle.

— Elegancka — oznajmił.

Trzeba było przyznać, że stanowili niezły tandem.

Jego zadowolenie się ulotniło, gdy dostrzegł nauczycielkę gimnastyki, profesor Agrippinę Sickle, która muskularnymi ramionami torowała sobie drogę przez tłum. Za nią podążał jej asystent Sejanus Plinth z ozdobną tarczą, którą profesor Sickle uparła się trzymać co roku do zbiorowego zdjęcia. Dostała ją pod koniec wojny za sprawne wdrażanie procedur bezpieczeństwa w Akademii podczas nalotów.

Nie tarcza jednak przyciągnęła uwagę Coriolanusa, lecz strój Sejanusa — antracytowy garnitur z oślepiająco białą koszulą przyozdobioną krawatem w perski wzór. Ubranie było skrojone tak, by dodawać gracji kanciastej sylwetce jego wysokiego właściciela. Ten komplet, bez wątpienia nowy, prezentował się stylowo i pachniał na kilometr dużymi pieniędzmi, a konkretnie

spekulacjami wojennymi. Ojciec Sejanusa, fabrykant z Drugiego Dystryktu, opowiedział się po stronie prezydenta. Zbił fortunę na produkcji zbrojeniowej i zdołał wprowadzić rodzinę na salony w Kapitolu. Plinthowie cieszyli się teraz takimi przywilejami, jakie najstarsze i najbardziej wpływowe rodziny zdobywały przez całe pokolenia. Precedensem było to, że Sejanus, chłopiec urodzony w dystrykcie, uczył się w Akademii, ale hojne dary jego ojca w dużej mierze przyczyniły się do odbudowy szkoły po wojnie. Obywatel urodzony w Kapitolu oczekiwałby przemianowania instytucji na swoją cześć. Ojciec Sejanusa zażądał tylko możliwości kształcenia syna.

Z perspektywy Coriolanusa Plinthowie i im podobni stanowili zagrożenie dla wszystkiego, co było bliskie jego sercu. Nowobogacy w Kapitolu zaburzali stary porządek samą swoją obecnością, lecz co innego szczególnie irytowało Coriolanusa. Większość swojej fortuny Snowowie również zainwestowali w zbrojenia, tyle że w Trzynastym Dystrykcie. Ich rozległy kompleks, złożony z licznych budynków fabrycznych oraz badawczych, zniknął z powierzchni ziemi w wyniku bombardowania atomowego. Trzynasty Dystrykt nadal był skażony zabójczym promieniowaniem radioaktywnym, więc główny ośrodek produkcji wojskowej Kapitolu przeniósł się do Drugiego Dystryktu i trafił w ręce Plinthów. Kiedy informacja o upadku Trzynastego Dystryktu dotarła do Kapitolu, babka Coriolanusa publicznie zadeklarowała, że Snowowie na szczęście mają jeszcze duży majątek. Ale nie mieli.

Sejanus pojawił się na szkolnym dziedzińcu dziesięć lat temu. Nieśmiały i wrażliwy chłopiec niepewnie przyglądał się innym dzieciom smutnymi brązowymi oczami, nieproporcjonalnie dużymi w jego zdradzającej napięcie twarzy. Kiedy się rozeszło, że pochodzi z dystryktów, Coriolanus w pierwszym porywie zapragnął dołączyć do kolegów z klasy, którzy postanowili zamienić życie nowego w piekło. Potem jednak doszedł do wniosku, że będzie go ignorował. W opinii kapitolieńskich dzieciaków

zaczepianie bachora z dystryktów było poniżej godności Coriolanusa, Sejanus zaś uznał, że kierowała nim przyzwoitość. Ani jedno, ani drugie nie było do końca prawdą, ale przekonanie, że Coriolanus ma klasę, tylko się umocniło.

Profesor Sickle, kobieta imponującej postury, podeszła do stadka Satirii, rozpraszając maluczkich na cztery strony świata.

— Dzień dobry, profesor Click.

— Och, Agrippina, witaj. Pamiętałaś o tarczy. — Satiria spokojnie zniosła mocny uścisk dłoni. — Martwię się, że młodzi zapomną, co tak naprawdę oznacza ten dzień. Sejanusie, wyglądasz bardzo elegancko.

Kiedy Sejanus usiłował się uklonić, zabłąkany kosmyk włosów spadł mu na oczy, a nieporęczna tarcza uderzyła go w pierś.

— Zbyt elegancko — zauważyła profesor Sickle. — Powiedziałam mu, że gdybym chciała pawia, zadzwoniłabym do sklepu zoologicznego. Wszyscy powinni mieć na sobie mundury. — Spojrzała na Coriolanusa. — Nie jest najgorzej. Czy to stara koszula od munduru twojego ojca?

Tak czy nie? Coriolanus nie miał pojęcia. Jak przez mgłę pamiętał ojca w eleganckim smokingu obwieszonym medalami.

Postanowił grać kartami, które dostał.

— Dziękuję, że pani to zauważyła, pani profesor. Kazałem ją przerobić, aby nie stwarzać wrażenia, że sam walczyłem. Chciałem jednak, żeby ojciec właśnie dzisiaj mi towarzyszył.

— Godne pochwały — odparła profesor Sickle.

Następnie skupiła się na Satirii i jej opinii na temat niedawnego rozmieszczenia Strażników Pokoju, czyli wojska, w Dwunastym Dystrykcie, gdzie górnicy nie wykonywali narzuconych im planów wydobywania.

Nauczycielki wdały się w dyskusję, a Coriolanus wskazał głową tarczę.

— To w ramach porannej porcji ćwiczeń? — spytał.

Sejanus uśmiechnął się krzywo.



— Zawsze chętnie służę — odparł.

— Nie ma to jak pucowanie na glanc.

Sejanus cały się spiął na sugestię, że jest lizusem czy też pomagierem. Coriolanus przez chwilę budował napięcie, po czym je rozładował.

— Znam ten ból — westchnął. — Poleruję wszystkie kielichy Satirii.

Sejanus wyraźnie się odprężył.

— Naprawdę?

— Nie, właściwie nie. Ale tylko dlatego, że o tym nie pomyślała. — Coriolanus oscylował między pogardą a poufałością.

— Profesor Sickle myśli o wszystkim. Bez wahania wzywa mnie i w dzień, i w nocy. — Sejanus wyraźnie chciał dodać coś jeszcze, ale tylko westchnął. — No i oczywiście akurat teraz, kiedy kończę Akademię, przeprowadzimy się bliżej szkoły. Jak zwykle idealne wyczucie czasu.

— Gdzie dokładnie? — zaniepokoił się Coriolanus.

— Gdzieś na Corso. Sporo luksusowych nieruchomości trafi wkrótce na rynek. Właściciele nie stać na podatki czy coś. Tak mówi ojciec.

Tarcza zazgrzytała o podłogę i Sejanus dźwignął ją w górę.

— Nieruchomości w Kapitolu nie są opodatkowane. Płacą tylko dystrykty — zauważył Coriolanus.

— To nowe prawo — poinformował go Sejanus. — Potrzeba pieniędzy na odbudowę miasta.

Coriolanus usiłował zapanować nad narastającą paniką. Nowe prawo. Opodatkowany apartament. Ile to będzie kosztować? Teraz ledwie udawało się im wyżyć z żalosnej pensji Tigris, skromniutkiej wojskowej renty babki po mężu, który służył krajowi, i z jego własnych dodatków, przyznanych mu jako dziecku poległego bohatera wojennego, ale tylko do ukończenia szkoły średniej. Czy stracą dach nad głową, jeśli nie zdołają zapłacić podatków? Nie mieli nic poza apartamentem, a jego sprzedaż nie na wiele by się zdała. Coriolanus wiedział, że babka pożyczyla

ile tylko mogła pod zastaw mieszkania i że gdyby je sprzedali, niemal nic by im nie zostało. Musieliby się przeprowadzić do jakiejś szemranej dzielnicy i dołączyć do masy szarych obywateli pozbawionych statusu, wpływów i godności. Hańba zabiłaby babkę Coriolanusa. Już lepiej byłoby ją wypchnąć z okna apartamentu. Przynajmniej szybko by poszło.

— Wszystko w porządku? — Sejanus patrzył na niego ze zdziwieniem. — Zbladłeś jak kreda.

Coriolanus wziął się w garść.

— To chyba poska. Skręca mnie od niej.

— Tak — zgodził się Sejanus. — Mamuś zawsze wmuszała ją we mnie podczas wojny.

Mamuś? Miejsce Coriolanusa miał zająć ktoś, kto mówił o swojej matce „Mamuś”? Poczuli, że lada moment dojdzie do triumfalnego powrotu kapusty i poski. Odetchnął głęboko i zmusił żołądek do utrzymania zawartości. Teraz nie znosił Sejanusa bardziej niż wtedy, kiedy ten dobrze odżywiony, mówiący z prostackim akcentem chłopak z dystryktów podszedł do niego po raz pierwszy, ściskając w dłoni torebkę żelków.

Coriolanus usłyszał dzwonek i zobaczył, że inni uczniowie zbierają się przed podestem.

— Pora na przydział trybutów — zauważył Sejanus ponuro.

Coriolanus poszedł z nim do wydzielonego sektora, szerokiego na sześć krzeseł i długiego na cztery, w którym mieli siedzieć mentorzy. Usiłował wyrzucić z głowy problem apartamentu i skupić się na czekającym go zadaniu. Teraz przede wszystkim powinien błyszczeć, a żeby zabłysnąć, musiał dostać ambitnego trybuta.

Dziekan Casca Highbottom, człowiek uważany za twórcę Głodowych Igrzysk, osobiście doglądał programu mentorskiego. Przedstawił się uczniom z werwą lunatyka o nieprzytomnych oczach, jak zwykle naćpany morfaliną. Niegdyś barczysty, wyglądał teraz na skurczonego i obleczonego obwisłą skórą. Niedawno przystrzyżone przy skórze włosy i nienaganny garnitur

tylko podkreślały fizyczne wyniszczenie. Dzięki sławie twórcy igrzysk jeszcze nie stracił stanowiska, ale krążyły plotki, że Rada Akademii ma go dosyć.

— Witam — wybełkotał, machając nad głową pogniecioną kartką papieru. — Teraz będę czytał.

Uczniowie ucichli, usiłując cokolwiek dosłyszeć wśród panującego w sali zgiełku.

— Odczytam wam nazwisko trybuna, a potem nazwisko tego, kto go dostanie. Jasne? No dobra. Pierwszy Dystrykt, chłopak trafia do... — Dziekan Highbottom zmrużył oczy, próbując się skupić. — Okulary — wymamrotał. — Zapomniałem.

Wszyscy wpatrywali się w okulary, które miał na nosie, i czekali, aż je wymaca.

— O, już. Livia Cardew.

Na spiczastej twarzyczce Livii pojawił się szeroki uśmiech. W zwycięskim geście wyrzuciła w górę rękę, krzycząc: „Tak!” swoim ostrym, nieprzyjemnym głosem. Zawsze lubiła się przechwalać, i teraz też to robiła, zupełnie jakby ten niezły przydział zawdzięczała wyłącznie sobie, a nie matce, dyrektorce największego banku w Kapitolu.

Rozpacz Coriolanusa narastała, gdy dziekan Highbottom brnął przez listę, przydzielając mentorów chłopcom i dziewczętom z dystryktów. Po dziesięciu latach igrzysk wyłonił się pewien wzorzec. Lepiej odżywione i bardziej przyjazne Kapitolowi dystrykty Pierwszy i Drugi zapewniały najwięcej zwycięzców. Zajmujący się rolnictwem i rybołówstwem trybuci z Czwórki i Jedenastki też liczyli się w grze. Coriolanus miał nadzieję na kogoś z Jedyńki albo Dwójki, jednak nic z tego nie wyszło, co było tym bardziej upokarzające, że Sejanus Plinth dostał trybuna z Drugiego Dystryktu. Nazwisko Coriolanusa nie padło również przy Czwórce, a jego ostatnią szansę na zwycięzcę, chłopaka z Jedenastego Dystryktu, zgarnęła Clemensia Dovecote, córka sekretarza do spraw energii. W przeciwieństwie do Livii, Clemensia z godnością przyjęła dobrą nowinę. Przerzuciła pasmo

czarnych włosów przez ramię i zapisała w notesie informację o swoim trybucie.

Coś było nie tak, skoro dotąd nie wymieniono nazwiska Snowa, również jednego z najlepszych uczniów Akademii. Coriolanus już zaczynał podejrzewać, że o nim zapomnieli — a może zamierzali przydzielić mu jakieś specjalne stanowisko? — kiedy ku swojemu przerażeniu usłyszał, że dziekan Highbottom mamrocze:

— A ostatnia z ostatnich, dziewczyna z Dwunastego Dystryktu, trafia do Coriolanusa Snowa.